

## KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

---

Guizot'a „Méditations sur l'essence de la religion chrétienne”. — „Pamiętniki pani Roland.” — „Życie Mirabeau,” przez Lamartina. — „Wielcy pisarze francuzey” wydanie Hachert'a. — Ś. p. Prosper Enfantin. — Ś. p. kapitan Speke odkrywca źródeł Nilu. — Otwarcie Teatru włoskiego. — Nowy teatr włoski w Paryżu. — Mohikanie. — List Dumasa do cesarza. — Wiadomości literackie.

Ostatni utwór Guizot'a „*Rozpamiętywania nad treścią religii chrześcijańskiej*” zadaje fałsz tym, którzy mniemali, że to będą gorzkie żale niepokieszonego po utracie władzy ministra—lub słabowite płody wyczerpanego polityczną walką umysłu. Nie jest tak wcale: siły i wymowy nikt temu dziełu nie zaprzeczy. Stanąwszy na kresach, z których podeszły mędrzec zwykł już obojętnym okiem spojrzeć na miniony padół płaczu, Guizot śledzi jeszcze ludzkość, jeżeli nie okiem ojca, to katolickiego filozofa, i dobrem bliźnich zajmuje się troskliwie—po swojemu.

Ostatnia książka Guizot'a, jest odezwą do wszystkich rozdzielonych wyznawców Chrystusa. Autor usiłuje zjednoczyć ich i obrócić przeciw wspólnym wrogom: niedowiarkom i mistykom. W przedmowie były minister chce dokonać téj zgody i skupić w jeden legion rozpieczętowane siły; w samém dziele zwraca uwagę na wspólność wiary łączącą wszystkie odłamy chrześcijańskiej społeczności.

Pascal zastanawiał się nad sprzecznością zachodzącą pomiędzy wzniosłymi instynktami człowieka, a jego słabością. Guizot myśl tę podnosi i wykazuje, że zadaniem

religii jest rozwiązanie téj sprzeczności, przez dostarczenie umysłowi człowieka kierowniczego światła a jego sercu pokrzepiającej siły.

Ludzie praktyczni sądzą, że lepiej nie tykać nadziemskich zagadek, gdyż rozwiązać ich niepodobna. Guizot mocno takie pojęcie gani. „Ci co tak myślą, powiada, chcą duszę bliźnią, męczoną pragnieniem wyższej wiedzy, zaspokoić negacyą. Bądź matematykiem, fizykiem, mechanikiem, chemikiem, romansistą, poetą—mówią młodemu, ale nie wdzieraj się w tak zwaną sferę religijną i teologiczną. Nie ma tam kwestyj rzeczywistych do rozwiązania; nic do szukania, nic do roboty... nic a nie!”

Tu autor staje w obronie *nadzwyczajności* wyszydzanej za dni naszych; usiłuje dowieść, że ją można pogodzić z naszą oświatą. Przeczucie rzeczy nadprzyrodzonych jest wrodzone człowiekowi, powiada; instynkt ten działać nie przestał: niech nikt nie sądzi, żeby lud przestał wierzyć w rzeczy nadzwyczajne. Mylne to urojenie półmędrków. „Że tam gdzieś uczyniono postęp w naukach przyrodzonych i historycznych, że to wypowiedziano w książkach, ztąd wniosek, że nadzwyczajność pokonana, zniesiona. Uczni nie tylko w swoim, ale i w imieniu ludu to głoszą. Wy, co tak wyrokujecie, zapomnieliście więc, alboście nigdy nie znali ludzkości i jej dziejów? Wcale nie wiecie co to jest lud, czém są wszystkie ludy pokrywające powierzchnią ziemi. Nie wnikliście w te miliony dusz, w których wiara w nadzwyczajność jest obecna i czynna, nawet wtedy, kiedy usta jej się wypierają. Nie wiecież jak ogromna przestrzeń istnieje pomiędzy gruntem a powierzchnią dusz, pomiędzy zmiennem tchnieniem, które umysł człowieka porusza, a instynktem niezmiennym, który jego żywotem kieruje? Zdarzają się wprawdzie za naszych czasów, nawet w gminie ojcowie i matki, ba, nawet dzieci mające siebie za niedowiarków i szydzące pysznie z cudów. Ale wypatrzo tych sceptyków w domu, w ciężkich chwilach życia. Co czynią owi rodzice, skoro im zasłabnie dziecko? Owi rolnicy, skoro ich zbiory zagrożone? Owi majtkowie, kiedy nawalnica okrętem miota? Podnoszą oczy ku niebu, modlą się... wzywają potęgi nadziemskiej, którą uważacie za nie-

istniejącą w ich głowach. Czynem nagłym, rzutem nieobrachowanym, zadają fałsz waszym i swoim własnym słowom."

Świat, tedy, zdaniem Guizota, nie zmordował się badaniem rzeczy niezbadanych.

— Być może. Ale czy należy odpowiadać na kwestye tego rodzaju oznaczonemi dogmatami? Czyście uczucie religijne, nie jestże samo religią rzeczywistą i potrzebną?

Powyższe pytanie zadaje szkoła nowa badaczy systematów religijnych: panowie Renan i Scherer.

— Niewątpliwie — odpowiada im Guizot. Uczucie religijne, zażyłość osobista duszy z Bogiem, jest rzeczą główną i religii potrzebną; ale religia jest jeszcze czémś inném, czémś więcej. Dusza ludzka nie da się podporządkować pod taką lub owaką władzę swoją; człowiek nie jest jedynie stworzeniem czulém, poetyczném, ulatującym przez wyobraźnię i miłość po nad świat rzeczywisty; myśli zarazem kiedy czuje; chce znać i wierzyć, równie jak kochać; nie dość dlań że jego dusza się poruszy i podniesie: potrzebuje, żeby ona się ustaliła i spoczęła w przekonaniach pozostających w harmonii z jego wzruszeniami. „Tego człowiek szuka w religii. Żąda od niej czego innego, niż czystych zachwytów: żąda światła. Jeżeli religia nie rozwiązuje zadań moralnych, oblegających myśl człowieka, może być poezją, ale nie jest religią."

Człowiek tedy, wedle Guizota, potrzebuje dokładnego i praktycznego rozwiązania zagadek swój duszy. Gdzie znajdzie to rozwiązanie? Były minister utrzymuje, że nie w naukach przyrodzonych ani w metafizyce. Nauka przyrodzona może tylko skończoności dosięgnąć. To granica zbyt ciasna. Filozofia tyle ma systematów sprzecznych a nie wykluczających siebie, że także zaspokoić nie może.

Nie idzie zatem, żeby porzucać te poszukiwania wzniosłe, i ustać w pół drogi, pomiędzy ograniczoną nauką i metafizyką zastałą; ale trzeba, żeby nie abdykując, człowiek poznał siebie: trzeba żeby wiedział, że siła jego tutaj nieskończenie jest mniejsza od jego ambicji,



i że mu nie dano poznać naukowo, nieskończonego świata ani ideału ku któremu się wydiera. Problemata, które tam spotyka, są tego rodzaju, że metoda i prawa kierujące umysłem ludzkim w badaniach skończonego świata, do nich się zastosować nie dadzą. „Nieskończoność jest dla nas przedmiotem wiary, nie nauki: równie niepodobna jej odrzucić jak przeniknąć. Skoro tylko człowiek ma poczucie tej podwójnej prawdy; skoro uzna ograniczenie swój potęgi naukowej, zachowując ambicję umysłową: niechybnie uzna także, iż w stosunkach skończoności z nieskończonością i jego samego z Bogiem, potrzebuje pomocy wyższej, i że na tej pomocy mu nie zbywa. Bóg dał człowiekowi to, czego człowiek zdobyć nie może. Objawienie Boże otwiera mu ów świat nieskończoności, gdzie duch ludzki sam przez się nie mógłby wnieść światła: Bóg je trzyma.”

Łańcuch ten myśli wyobrażających poniekąd psychologią i logikę, doprowadza Guizota do uznania potrzeby objawienia. Bada szczególnież objawienie chrześcijańskie i dowodzi, że ono jedno mogło sprawić odrodzenie moralne, rozległe i trwałe: jestto dowód jego wyższości.

Przedmiot tego objawienia stanowi całość dogmatów chrześcijańskich. Guizot bada jeden po drugim i wykazuje, iż są zgodne z instynktami wyższymi naszej natury; sprawdza tytuły, na których są ugruntowane i stwierdza natchnienie powszechnie ksiąg świętych.

Ten ostatni przedmiot doprowadza autora do zapamiętania się na osobę Boga i Chrystusa w Starym i Nowym Testamencie. Usiłuje wykazać ich stosunek z człowiekiem i światło, jakie można z tego stosunku wyciągnąć ku kierowaniu życia moralnego. Ta ostatnia karta ma jeszcze inną dążność: Guizot bije Renana. Nie pobija go wprawdzie, bo całą krytykę można streścić w tych słowach ultramontańskich „po co ludzi truć?” ale smaga jak może najmocniej, za występne zrywanie się na dogmaty będące podstawą religii chrześcijańskiej. Wystąpienie przeciwko książce Renana (choć Guizot wprost go nie zaczepia) jest najżywszym ustępem wymownego dzieła, którym protestant obóz katolicki zasilił.

Cóżkolwiek bądź, myśląc o wartości argumentów Guizota, nie można pozostać nieczułym na piętno wyższości, którem ta jego praca nacechowana. Podziwiać trzeba bezstronność obok nieobojętności, miarę wyrażen i rozumowanie dostojne, tak nieskończenie wyższe od sekciarskich klótni; trzeba wielbić wysokość umysłu głuchą na wrzaski polemiki brukowej, zapominającą o osobach a raczącą tylko myśli dotykać.

Retor mianowicie, z rozkoszą popłynie spokojnym nurtem tej pięknej wymowy, opromienionej światłem wypoczętej myśli, jako wielka rzeka bieżąca cicho w pozłocie jesiennego słońca.

Myśliciel świeższej daty, nie olśniony przepychem stroju psychologii i logiki Guizota, uczyni mu z uszanowaniem, kilka uwag.

---

Historyczne studjum Dauban'a „*Pani Roland i jej czasy*” zaliczyć należy do najciekawszych publikacyj francuzkich tego lata. Wydawca przejęty uwielbieniem dla bohaterkiej niewiasty, najbielszej perły w dyademie rewolucyjnej martyrologii, prócz listów pani Roland, podaje szczegółowy opis jej trzechmiesięcznego więzienia, zakończonego gilotyną.

Jestto najważniejsza, bo wysoko podnosząca część dzieła. Znajdujemy w niem także nieznane urywki pamiętników, na których pisaniu pędziła czas w niewoli. Napisane karty pani Roland oddawała skrycie przyjaciołom odwiedzającym ją w więzieniu św. Pelagii. Ci, uwięzieni z kolei, podawali je drugim. Tak idąc skrycie z rąk do rąk, część rękopisu przeleżała kilka miesięcy w szczelinie skały w lesie Montmorency. Wszystkie te karty cechuje wysokie podniesienie ducha, oraz najwyższe umiłowanie wielkiej myśli, dla której żyła i umarła szczerze, nad tém jedynie bolejąc, że jej nie dozwolono rzucić tłumowi z rusztowania słów prawdy, które przypieczętowane głową, byłyby może na lud wpłynęły zbawiennie.

Skoro tylko zamknięto za nią drzwi więzienia, pani Roland wzięła pióro i pod tytułem *Notices historiques* opowiedziała wypadki, których była świadkiem. Zaczęła od



pierwszych dni rewolucyi; ale początek nieszczęściem zaginął: tego okresu została ledwie część trzecia. Champaigneux depozytor rękopisu, w chwili aresztowania powierzył go przyjaciółce, która nosiła go długo przy sobie, ale w końcu spaliła. Pani Roland dowiedziawszy się o tém, zawołała: „wolałabym była sama w ogień skoczyć!” Zabrała się na nowo do pracy i w przeciągu miesiąca napisała powtórnie historią ministerstwa Rolanda. Jednocześnie pisała prywatne *pamiętniki*, którym swoją sławę autorską zawdzięcza. Dwa te różne zupełnie dzieła, kresliła szybko, bez planu i bez poprawek; w końcu dziwi się sama, że trzysta stronnic napisała we dwadzieścia dwa dni.

Mimo tak wielkiej szybkości pióra, zabrakło czasu autorce; pojęła, że zbyt krótko już żyć miała, ażeby mózgi wypełnić obszerny zakrój: to więc co pozostawało jeszcze do powiedzenia, skreśliła w kształcie ogólnego poglądu. Ale i od tego odwróciła jęj oczy fatalna rzeczywistość. Rewolucya doszła do terroryzmu. Wówczas pani Roland woła: „Nie mogę już prowadzić pióra wśród okropności rozdzierających moją ojczyznę... nie mogę żyć na jęj zgłiszczach... wolę w nich się zagrzebać. Naturo! otwórz swe łono! Boże sprawiedliwy, przyjmij mnie!” Potem dodaje: „w trzydziestym dziewiątym roku życia!”.. dalej znać ślady łez....

Powyższe wyrazy zdradzają postanowienie, które powzięła w początku października. Pani Roland przestała wierzyć w zwycięstwo Żyrondystów: *Górale* stanowiączo górę wzięli. Jęj przyjaciele polityczni tułali się z kryjówki w kryjówkę. Dawniej myślała, że skazana na śmierć, będzie mogła szczytnym skonem poruszyć naród; doczekała chwili, w której powszechność przyklaskiwała egzekucyom. Dopóki wolno było mówić, czuła powołanie do gilotyny; skoro skazanym przemawiać zakazano, nie miała co robić na rusztowaniu, i postanowiła wymknąć się katowi dobrowolną śmiercią.

Zanim atoli zaczęła wykonywać postanowienie zamordowania siebie, chciała pożegnać wszystkich ukochanych. W *Ostatnich myślach* zwracając się najpierw do męża, powiada: „Przebacz szanowny człowieku, że rozporządzam

życiem, które tobie poświęciłam". Dalej żegna córkę i przyjaciela, któremu „najstraszniejsza namiętność nie przeszkodziła szanować cnoty”. „Żegnam was, dziecię moje i mężu! Bywajcie zdrowi słudzy i przyjaciele! Żegnam cię słońce, którego promienie wносиły pogodę w mą duszę i wzywały do nieba.. Żegnam i was, którzy błogosławicie mnie, mieszkańcy cichój wioski, których łagodziłam nędzę i leczyłam choroby.. Żegnaj spokojny pokoiku, w którym ducha mojego prawdą karmiłam, w którym wyobraźnią okiełznała nauka—gdziem w milczeniu i rozmyślaniu, nauczyła się rozkazywać zmysłom i gardzić próżnością. Żegnajcie!!”

Zamiar głodowej śmierci odwłókl rozkaz wzywający panią Roland na świadka w procesie *Żyryndystów*. Skoro już nie była potrzebna przyjaciołom, wróciła do dawnego zamiaru i napisała do przyjaciela swojego pana Bosc, wyluszczać powody, oraz zasięgając rady. Bosc uznał za stosowne zganić jej postanowienie i rozmaitemi względami motywując potępienie głodowej śmierci, skłonił panią Roland do czekania na rusztowanie. Przyznała że mogła się pomylić. „Być może, powiada, że głęboka boleść i exaltacja uczuć straszliwa, wyhodowały w mojem sercu postanowienie, które potem rozum usprawiedliwił.” Kazala więc powtórnie ważyć rzecz powiernikowi. Ten obstawał przy swoim—przeto usłuchała jego rady.

Pierwszego listopada przeniesiono panią Roland do Conciergerie. Tam zamknięci więźniowie słuchali wyroków, więc stacya była niedługa: pani Roland przesiedziała tam tydzień. W Conciergerie, fatalnym lochu bez powietrza ni światła, umieszczono ją w cuchnącym barłogu i ciągniono śledztwo, które niczem szczególniejszem się nie wyluszcza. W obec sędziów pozostała jak zawsze mężna: wyrażała się jasno i dobitnie. Oskarżyciel publiczny i sędziowie znieważali ją: potępiono ją z góry a badano tylko dla formy.

Ostatnie jej dni były pogodne jak jej dusza, a śmierć prawdziwie apostołska.

Dwaj towarzysze więzienia Conciergerie, opowiadają ostatnie chwile pani Roland: Riouffe i Beugnot. Świadectwo ostatniego tém wiarogodniejsze, iż uczciwy roja-



lista nie tai uprzedzeń, jakie miał przeciwko sławnej republikantce.

Pani Roland weszła do Conciergerie nazajutrz po straceniu dwudziestu dwóch Żyryndystów. Gdyby była miała jeszcze jakie złudzenia co do swojego losu, musiałaby je porzucić; mimo to, niemniej okazywała się pogodną, rozmawiała odważnie i swobodnie. „Baczyliśmy na jęj każde słowo, powiada Riouffe. Pełni uwielbienia i podziwu nie spuszczaaliśmy z nięj oka. Rozmowa toczyła się poważnie. Pani Roland wyrażała się poprawnie a wymowa jęj była rodzajem muzyki, którą ucho nie mogło się nasycić. O straconych deputowanych mówiła z uszanowaniem, ale bez zniewieściałego żalu; zwała ich: nasi przyjaciele. Na wspomnienie córki i męża płakała. Z więźniami, którzy jęj zarzucali gwałtowność pojęć, dyskutowała o zasadach.”

Cudowną była władza pani Roland nad grzesznicami, które rzucano do Conciergerie razem z więźniami politycznymi. „Cela pani Roland stała się przybytkiem pokoju w tém piekle, pisze Riouffe. Skoro wyszła na dziedziniec, wnet jęj obecność wszystkich przywoływała do porządku. Nawet te nieszczęsne istoty, na które żadna już moc nie działała, powstrzymywały się, z obawy żeby jęj nie ubliżyć. Rozdawała pieniądze potrzebnym, a rady wszystkim. Kobiety cisnęły się do nięj jak do opiekunczego bóstwa.”

Ubierała się zawsze starannie. W dzień kiedy miała stanąć przed trybunałem, Beugnot zabiegł jęj drogę i opowiada jak była ubrana. „Miała białą suknię oszytą koronkami i czarną aksamitną przepaskę; na głowie gładko uczesanęj, elegancki czepeczek, z pod którego piękne jęj włosy spadały na ramiona: rumieńce świeże i uśmiech na ustach. Jedną ręką unosiła powłoczystą suknię, drugą wyciągnęła ku cisnącym się ku nięj kobietom. Te które wiedziały co ją czeka, szlochały polecając ją Bogu. Niepodobna oddać tego obrazu, powiada świadek. Trzeba go było widzieć. Pani Roland nie mówiła że idzie na śmierć, nie obiecywała téż że wróci, ale im zalecała, żeby się poprawiły, żeby mężnie znosiły złą dolę i nie dały się unieść



pokusie. Stary klucznik, którego poczciwe serce przez trzydzieści lat więzienną służbę nie skamieniało, otworzył jej kratę płacząc. Zacząłem z nią mówić, kiedy stróża zawezwali ją przed trybunał. Na ten straszny pozew, ona rzekła spokojnie ściskawszy mnie za rękę: „Bywaj pan zdrow! pogódźmy się! wielki czas...” Rzuciwszy na mnie okiem, dostrzegła żem łzy połykał.. wtedy zawołała „Odwagi!”

Usłyszawszy swój wyrok, powróciła do więzienia krocząc jak zwykle lekko, i energicznym giestem dała do zrozumienia towarzyszkom, że ją na śmierć skazano.

Było to 18 brumair'a czyli 18 listopada. Wedle zwyczaju, wykonanie wyroku miało niezwłocznie nastąpić. W chwili odjazdu pani Roland ucałowała wszystkie towarzyszek więzienia, które przyjaciółkami jej się stały. One płakały. Ona, mówi naoczny świadek, była ożywiona i uśmiechnięta: „święty ogień w oczach jej błyszczał”. „I cóż, rzekła do rozpaczających, umrę za wolność i za ojczyznę. Czyż tego nie pragnęłyśmy zawsze?”

Wózek powiózł dwie ofiary. Obok pani Roland siedział Lamarche, były dyrektor główny fabrykacji assygmatów. Nie był stary, jak piszą, ale strasznie zgnębiony... Pani Roland zaczęła go pocieszać, krzepić, podnosić i dokazała tego, że się uśmiechnął. Jadąc wybrzeżem Sekwany pożegnała dom, w którym dziecinne lata przeżyła.

Nakoniec wózek zatrzymał się na placu Rewolucyi, dzisiejszym placu de la Concorde. Gdzie teraz stoi obelisk Luxoru, wówczas stała gilotyna.

Była godzina piąta—zmrok zapadał—na placu roila się czern ludu... Pani Roland przez wzgląd na swojego towarzysza, żądała żeby pierwój wstąpił na rusztowanie. „Idź naprzód, rzekła: nie miałbyś siły patrzeć na śmierć moją.” A kiedy kat się zawahał, dodała z uśmiechem: „możesz odmówić kobiecie ostatniej prośby?”

Wnet przyszła na nią kolej. Biała suknia mignęła... szła swobodnie, lekko, jakby skrzydła miała... Stała pod nożem i utkwivszy oczy w wielki posąg Wolności, który zdobił plac Rewolucyi, wyrzekła owe sławne wyrazy:

*Oh! Liberté! comme on t'a jouée!* (O! wolności! jakże cię oszukano)!

To były jój ostatnie słowa.

Ciało pani Roland pochowano niedaleko miejsca kaźni, na cmentarzu Magdaleny, którego teraz nie ma śladu: grób jój żadnym znakiem nie został oznaczony.

Historja nie zna piękniejszej śmierci jak śmierć pani Roland. Nikt w ostatniej godzinie, umierając gwałtowną śmiercią, nie okazał wdzięczniejszej odwagi ani prostszego bohaterstwa.

Pani Roland powtarzała nieraz, że mąż jój nie przeżyje: jakoż zgadła. Dowiedziawszy się o skazaniu na śmierć żony, starzec zemdlał. W kilka dni później, 20 listopada, wyszedł z mieszkania, usiadł nad drogą i przebił sobie serce szpadą.

Najmilszy jój przyjaciel Buzot, ukryty wówczas w Saint-Emilion, dowiedziawszy się o straceniu pani Roland, dostał ponieszania zmysłów. Odzyskawszy przytomność, napisał testament; kazał spalić jój listy, jój portret przekazał przyjacielowi i zniknął. W kilka tygodni znaleziono go w zbożu z przestrzeloną piersią, napoczętego wilezemi zęby....

Nakoniec, wypada tu skreślić zewnętrzny i wewnętrzny wizerunek kobiety, która umiała tak silne wzniecać przywiązanie i tak dzielnie za swoje zasady umierać.

Pragnąc wyobrazić sobie jak wyglądała w początkach rewolucyi, w trzydziestu pięciu latach, badaliśmy portret pani Roland malowany przez Heinsius'a, a zawieszony w wersalskiej galeryi; ale z niego nic dowiedzieć się nie można: jestto portret fantastyczny, nieokreślony, nie mówiący: toż samo ten, który Plon umieścił na czele swojego wydania *Pamiętników pani Roland*. Najpodobniejszy jój wizerunek można sobie zrobić z wzmianek współczesnych, zapisanych tu i owdzie.

Otóż więzienne spisy Ś. Pelagii, dają jój wzrostu pięć stóp. Nie była więc wysoka, ale kształtna: miała tuszę zdrowia i świeżą cerę. Rysy jój twarzy nie regularne, ale przyjemne: czoło szerokie, usta nie wąskie ale ozdobione pięknymi zębami; nos nieco gruby, broda zadarta, włosy



bujne ciemnego koloru; oczy duże, wypukłe: jedni mówią czarne, drudzy, niebieskie. Lamartine godząc podania, powiada: „Oczy niebieskie cieniem myśli poczerniały.”

Do tego paszportowego rysopisu potrzeba dodać, że miała uśmiech czarownicy, żywe i otwarte wejrzenie: całość oblicza przedstawiała mieszaninę słodyczy, dowcipu i naiwności. Do śmierci zachowała ruchy niedorostka: nie chodziła, ale biegała, nie wysiadała, ale wyskakiwała zawsze z powozu. Obejście jęj było bardzo proste. Miała krew wrzącą, nerwy do excytacji łatwe, temperament ognisty (jak sama mówi); humor zmienny, ustawiczne przejścia od smutku do wesołości, od nadziei do przygnębienia; usposobienie miała pieścizotliwe; pragnęła zwracać na siebie uwagę i żeby ją kochano. Ostatecznie, stanowiła rzadką mieszaninę powściągliwości i pożądlivosti, kochliwości i skromności.

Piękność więc pani Roland cała tkwiła w wyrazie: byłato piękność czysto duchowa. Dlatego niektóre osoby nie znajdowały ją nawet ładną. Kamil Desmoulins dziwił się, że mogła mieć wielbicieli, na co pani Roland odpowiedziała wyniosłe: „Ma słusność, nigdy z nim nie mówiła.”

Głos miała dzwięczny i była bardzo wymowna. Jeden z współczesnych powiada: „Dowcip, rozsadek, miara, dosadność, poezya i prostota: wszystko to bez przygotowania, płynęło z pomiędzy jęj zębów perłowych.”

Nie było tam nauki, ani wyrozumowania, ale natchnienie samo. Pani Roland wyobraźnią chwytiała w lot myśli szczytne i zapalała je swoim zapalem. Miała téż zwykłe takięj natury błędy: uprzedzenia, zaślepienia i małą znajomość serca ludzkiego; często z najlepszą wiarą, była niesprawiedliwa; ale że u nięj wszystko szło z natchnienia, była jako lutnia, któręj strunami porusza tchnienie ziemskie i nadziemskie. Czasami była wdzięczna jak dziecię; czasami mądra jak filozof, czasami jak trybun ludu, potężna. Nieraz wątpiła umysłem, ale zawsze wierzyła sercem. Była zarazem spokojną i exaltowaną, zachwycającą i powszednią, dziewiczą i namiętną. Panowała swym zmysłem nie panując sercu; znała zakłócającą miłość, ale gardziła tą, która na gruzach obowiązku zakwita. Nieprzy-



stępna wszystkiemu co niskie, podle, niehonorowe, żywa i otwarta, była w całym znaczeniu tego słowa, szlachetną i przepyszną istotą! Jój więzienny kolega Riouffe słusznie powiada: „Pani Roland jest jednym z cudów rewolucyi.”

---

Lamartine napisał *Żywot Mirabeau*. (Mirabeau, par Lamartine, Nouvelle Revue de Paris).

Przed trzydziestą laty, Wiktor Hugo, na kilku płomiennych kartach przedstawił Mirabeau-mówcę. Wrzała wtedy w najlepsze walka wyobrażeń; pisarzami miotały jeszcze nienawiści, gniewy i gorączki 1789 roku. Dziś rewolucya już tu gwałtownie umysłów nie porusza; Francuzi ku innym horyzontom mają oczy zwrócone: patrzą w przyszłość, nie w przeszłość. Zaczęli więc spokojnie pisać historią swój rewolucyi; studyują już nie tylko geniusze ale charaktery ówczesnych ludzi, nie tylko ich potęgę wielbią, ale ich żywot badają.

Ztąd różnica studyum Hugona od Lamartinowskiego poglądu, na tegoż samego człowieka; pierwszy odzwierciedlił świetnie namiętność zakłóconej epoki: w okresach jego ognistych, w nawałnicy słów, grzmi jeszcze huragan politycznych bitew. Drugi mówi spokojnie, jako historyk chłodny, trzymający się przepisów nowej szkoły, dbającej więcej o analizę niż o syntezę; pragnącej więcej szczegółów, niż obszerniej całości, żądającej jasności, nie błyskawic.

Mirabeau Hugona błyszczy jak grom. Jestto wzniosły i potężny utwór natchnionego artysty, który w człowieka pół-rzeczywistego a pół-idealnego, wcielił ogromną wizję rewolucyi.

Mirabeau Lamartina jest daleko mniejszy.... Autor opowiada, bada, komentuje jako krytyk, nie jak poeta. Bez namiętności, bez miłości i bez gniewu patrzy na bohaterą przebrzmiałej epoki.

Praca dwóch pierwszorzędných pizsary francuzkich, zupełnie różna, tworzy niby dwa napisy, któreby można umieścić, jako posąg trybuna na piedestale: jeden wskazuje giest, wejrzenie, zapał, wściekłość, śmiech, pogardę i dziką gwałtowność olbrzyma wymowy; drugi odsłania

sumienie Mirabeau. Lamartine nie tyka mówcy i czołem uderza przed geniuszem, ale dokumenta na stół kładzie i obnaża duszę.

Promień ma swój cień, medal odwrotną stronę. Straszliwe słowo: *przekupstwo*, kala ostatnie chwile tego potężnego męża, którego historya na przemiany podziwia i potępia, a potomność nie wie jak sądzić, tyle w tym kosmosie widzi chwały i niesławy.

Hugo przedstawił piorun: Lamartine ten piorun rozbiera. Bada jaka była mądrość stanu Mirabeau?

Zwalać nadużycia, być narzędziem potężnego wstrząśnienia, znaleźć się w naznaczonej przez konieczność godzinie, mieć geniusz epoki cudotwornej, geniusz obalania i zagłady, to wiele, bardzo wiele! Ale czy jest geniuszem pełnym ten, kto nie ma zmysłu badania i rządzenia? Mirabeau go nie miał, Lamartine wykazuje to dowodnie.

Pomiędzy wielkimi mężami stanu są jedni do wybijania, drudzy do budowania drzwi stworzeni: Mirabeau należy do pierwszych. Był mężem stanu wojny, nie pokoju. Chciał i tym zostać w końcu, gdyż miał chętność bohaterów Homera, którzy wyzywali bogów, ale przedsięwzięcie było nad jego siły. Dokumenta należące obecnie do historyi, plan postępowania który złożył Ludwikowi XVI, dowodzą tego wyraźnie. Same słowa, nic więcej. Nie był winien swęj niemocy, ale był winien iż siebie miał za dosyć mocnego do zatrzymania słońca; był winien, iż tak dalece nie rozumiał wypadków zaślepiony pychą, że sądził iż ich bieg od jednego człowieka zależy.

Dwór mógł się mylić: rozumował, że buntowników rozbije kupiwszy wodzów.

Tak sądząc królowa kupowała Mirabeau, który zdaniem jęj, mógł zaradzić złemu, które sprawił. Mniemała iż uwiodła wodza buntowi, że uwięziła duszę buntowników: jakże się myliła.

Od czasu jak portret jego kreślił Hugo, dowiedziano się wiele smutnych rzeczy o Mirabeau. Wiadomo teraz, że Ludwik XVI nabył go, za spłacenie jego długów, roczną pensją, i milionem w perspektywie, po uśmierzeniu rozruchów.

Mirabeau w dobrej wierze obiecywał swą pomoc tronowi; ale przyjął zarazem narzucone sobie pojęcie, pojęcie które tylko pragnienie złota mogło w umyśle jego zaszcześcić. Chciwość zwichnęła geniusz, a nawet ambicyą tego człowieka nadzwyczajnego, który wszystkich społecznych przewyższył darem wymowy i spodleniem duszy.

Taki wyrok wydała o nim potomność. Szczęśliwie udało mu się umknąć z tej ziemi i nieusłyszeć go za życia.

Bywają dziwne szyderstwa w historii narodów. Jakż naprzykład dziwny i bolesny przedstawia widok skon Mirabeau. Pod jego oknami na ulicy Chaussée-d'Antin, wszystek lud paryżki w żałobie, cisnął się przerażony, niespokojnie dopytując o stan zdrowia złożonego niemocą swego trybuna. Zgromadzenie narodowe czuło omdlenie konającego... Ów tłum, ci deputaci, wszyscy ci żołnierze wielkiej sprawy, szlochali u drzwi tego, którego uważali za swego kolegę i wodza w straszliwej bitwie, wydanęj dawniej społeczności.

Nie daleko od Chaussée-d'Antin, w Tuileryach, nieprzyjaciele nowego rzeczy porządku, król, Marya-Antonia i wierni dworacy, płakali także swojego przyszłego obrońcy....

Podwójne zaślepienie! Ów kochanek ludu, kryjomo zdezerterował z jego obozu i sprzedał swą wymowę. Ów obrońca monarchii byłby jęj nieużyteczny.

Ach! jakże w porę śmierć przyszła tą razą: lud i dwór zachowali swoje złudzenia, a zmarły trybun w tryumfie zgasły, pojechał do Panteonu opromieniony słonecznym blaskiem południa swojej chwały.

Jeżeli czyją, to Mirabeau śmierć można nazwać szczęśliwą. Uchroniła niezrównaną jego wymowę od sromotnego zwrotu, a polityczny geniusz od zabójczej porażki.

Tak też sądzi Lamartine. Opinią ustaloną przed trzydziestu laty w przedmiocie wymowy Mirabeau, Lamartine ustalił teraz co do jego charakteru. Pokazało się, że człowiek jest odwrotną stroną medalu: wybija na niej w pełni pyszna brzydota nieśmiertelnego mówcy.

---



Zmarły świeżo wydawca i księgarz Hachette, pod koniec życia uposażył literaturę francuską dwoma znakomitemi wydaniem: *Les grands écrivains de la France* (Pani Sévigné, Malherbe i Corneille) i *Memoires du Duc de Saint-Simon* z przedmową pana Sainte-Beuve.

Nie łatwo mówić o żywych, gdyż jak twierdzi, nie pomnę już który filozof: „człowiek łatwo może się rumieć za złe i dobre które o nich powie, za dobre które popsują, za złe które naprawia.”

Nie łatwiej mówić o umarłych powszechnie znanych. Cóż powiedzieć o sławnych pisarzach francuskich? Pani Sévigné, Malherbe, Corneille liczą krytyków kopami: wszystko już o nich powiedziano. Nie wdając się w rozbiory znanych rzeczy, ograniczymy się na uwiadomieniu czytelników o nowém wydaniu klasyków francuskich, które uskutecznilo pod dyktando członka instytutu pana Regnier.

Pani Sévigné rozpoczyna Hachetta wydanie *Wielkich pisarzy francuskich*. Nowa edycja listów przedstawiała trudności, gdyż trzeba było wkładać napowrót to, co poprzedni wydawcy, krewni i przyjaciele zmarłej, uznali za stosowne odrzucić. Tak jak są teraz, listy pani Sévigné wraz z komentarzami, tworzą żywy obraz społeczności XVII wieku. Dla wielbicieli téj pisarki, jestto niby drogocenne muzeum. Znajdą tu jęj metrykę chrztu, kontrakt małżeństwa, akt zejścia, jęj *fac-simile*, i podpisy jęj przyjaciół; prócz tego widoki miejsce wspomnieniem jęj uświęconych.

Wydawcy nie pominęli nic: nawet genealogii i portretu. Obok sztychowanego, są portrety pani Sévigné *pisane* przez pannę Scudéry, pana Somaize, panią Lafayette i pana Bussy. Ten ostatni najpodobniejszy, tu podajemy: „Maria de Rabutin, margrabina de Sévigné córka barona de Chañtal, kobieta geniuszu nadzwyczajnego i niezachwianej cnoty, godzącej się w nią z wielu powabami.”

Charakterystyka nieco oschła, ale prawdziwa. Spółcześni ubolewali nad doskonałością téj pani; potomni, mimo najszczerzej chęci, nie mogli najmniejszego na jęj rachunek wynaleźć skandalu.

Francuzi w ogóle nie wysoko cenią prozę Malherba: nie ma w niej ani zalet znacznych, ani wad rażących. Jego listy do Peiresc'a, po raz pierwszy zebrane w drugim tomie wydania, o którym mowa, są pełne szczegółów zajmujących o dwudziestu pięciu pierwszych latach XVII wieku. Bazin, który czerpał z nich wiele do swojej *historii Ludwika XIII*, oświadcza wdzięczność autorowi w długim wstępie poprzedzającym *Korrespondencyą*. Rytmotwórca, tłumacz, kronikarz, Malherbe otrzymał od Balzaca następującą charakterystykę:

„Malherbe nauczył Francją co jest poezya i zdołał zadowolnić ucho owego delikatnego i surowego sędziego. Wynalazł sztukę pisania poprawnie i przyzwoicie. Pokazał że wymowa ma źródło w doborze myśli i słów; dowiódł, że częstokroć szczęśliwy układ rzeczy i słów, wart więcej od samychże słów i rzeczy.”

Powyższa ocena z wielu względów jest prawdziwa, choć zdaniem Francuzów nie dość sprawiedliwa. Zapewne nie dość pochlebna.

Corneille był celem szczególniejszej baczności wydawców. Pozbierali wszystko co tylko o nim szczegółów zebrać było można. Pomiędzy innemi jest ciekawa próbka, jak poprzedni edytorowie obchodzili się z nim *przez szacunek dla jego chwały*. Pokazuje się, że żadne z poprzednich wydań nie jest wolne od powyższego względu.

Teraz podobno pierwszy raz text prawdziwy wyszedł na świat. Dzieło zupełne autora *Cyda*, kompletują wszystkie panflety téj sztuki. Noty umieszczone przed każdą sztuką Corneilla, poznajamają z niemi pod względem historycznym.

Jednocześnie Hachette przygotował nowe wydanie doskonałe *Pamiętników Saint-Simona*. Porównyując to wydanie z poprzedniemi, widać ile pracy sobie zadano: na każdej karcie są zmiany dokonane wedle rękopisu. Dodano spis alfabetyczny przedmiotów i imion własnych, portret autentyczny autora i jego *fac simile*.

Ciekawy to zabytek dawnych czasów! tém droższy że czas pisania pamiętników przeminął. Charaktery błędnej, indywidualności znikają, klasy się równają. Francya



ma jeszcze wprowadzić dwór — ale duch i namiętności dworu, zawieść, próżność, interesa, kasty, nie istnieją. Ten duch i te namiętności są niezbędne, żeby stworzyć takiego jak Saint-Simon pisarza, albo taką jak pani Sévigné pisarkę. Nie dla tego, że drogi żelazne zniosły przestrzenie, że matka telegrafem co chwila dowiadywać się może o zdrowiu córki, że korespondencya pani Sévigné jest przeto niemożliwa; ale dla tego, że interesa, uczucia, przyjemności i zmartwienia, o jakich, mówi przestały istnieć wraz z dworem. Tłem korespondencyi pani Sévigné, Ludwik XVI. Wtedy tylko jest dwór prawdziwy, kiedy jego pan jest panem wszystkiego. Cały Saint-Simon jest wyrobem słonecznych promieni królewskiego majestatu. Malherbe, a nawet Corneille przyjsz jeszcze mogą, ale Saint-Simon już nigdy nie wróci.

---

Podczas kiedyśmy w naszej lipcowej kronice zdawali sprawę czytelnikom z ostatniego dzieła Prospera Enfantin „*Życie wieczne*”, on dogorywał, otoczony przyjaciółmi, w których potrafił obudzić owo rzadkie przywiązanie silne a stałe, będące *gotówką*, którą wbrew ogólnemu prawu, Opatrzność na ziemi zasługi wybranym płaci.

Trzeciego września wszystko co myśli w Paryżu, znakomitości naukowe, literackie i przemysłowe, odprowadzały na cmentarz Père-Lachaise karawan *ubogich*, wiozący zwłoki Enfantin’a w trumnie z czterech desek zbitój.

Ten zupełny brak pośmiertnej próżności przypominający pogrzeb Lamenaigo, podnosił świetność orszaku złożonego z ludzi wyższych, szczerze bolejących nad zgaśnięciem tak świetnej pochodni.

Jeżeli kto, to Enfantin na tę nazwę zasługuje, gdyż umysł jego świecił wszechstronnie równie daleko posunięty w moralnym jak w materyalnym kierunku, równie wysoko praktycznie jak idealnie wykształcony. Najwięcej zasłynął jako naczelnik szkoły, gdyż praca na moralném polu wyższa i trwalsza od téj, którą na praktyczno-fizyczném polu dokonywamy; ale i na tém Enfantin zostawił głębokie ślady swojego przejścia.



Zrodzony z bankierskiej rodziny, oznajomiony od dzieciństwa z obrotami pieniężnemi; brat znakomitego malarza, przez niego estetycznie rozwinięty; wczesnie włożony do naukowej karności wychowaniem odebraném w szkole politechnicznej—Enfantin wzięwszy udział czynny w obronie Paryża 1814 roku, następnie lat kilka trudnił się handlem, jednocześnie zajmując się badaniem kwestyj ekonomicznych.

Poznawszy osobiście Saint-Simona, Enfantin został uderzony szerokością jego poglądu. Przepowiednia upadku teologiczno-feodalnego świata, przyjście królestwa nauki i przemysłu; uwidomienie prawa postępu rozwidniające chaos dziejowy; odnowienie pojęć religijnych uważane przez nowatora za podstawę reorganizacji politycznej; ulepszenie moralne i fizyczne ludu, stawiane przez niego jako główny cel przyszłej polityki: wszystkie te myśli wzniosłe a proste, wówczas paradoxalne a dziś rozpowszechnione, zawładnęły silnie umysłem Enfantina i stały się sprężyną jego życia.

Wnet rozpoczęła się pod jego kierunkiem propaganda.

Był to bohaterski wiek wzniosłych myśli naszego stulecia: Francya młoda żyła myślą. Nakreślono program olbrzymi i rzucono go w nikczemny wrzątek niskich namiętności. Program obejmował zarazem człowieka i przyrodę: był zarazem psychologiczny i fizyczny. Dla rozpowszechnienia idei nowych, nakreślono na Europie i Azji nową sieć dróg żelaznych, oraz przekopy mające połączyć z sobą nie znające się światy. Odnowiono ekonomią polityczną: zapłodniono ją nowymi zasadami i zuchwałą utopią; bolesne zadanie proletaryatu także poszło pod rozbiór: słowem, stanął cały systemat ekonomiczno-metafizyczno-religijny, tak wielki że go Lacordaire nazwał największym ruchem ludzkiej intelligencji od czasów Lutra.

Takiego dzieła, od 1825 do 1832, Enfantin był duszą.

Po ukończeniu opracowania teoretycznego systemu, powstały trudności, a z nich rozdwojenia. Szkoła Saint-Simonistów się rozpierzchnęła i każdy ciągnął dalej na swoją rękę dzieło wspólnie poczęte.

W tym czasie Enfantin udał się do Egiptu celem studyowania na miejscu przekopu międzymorza Suez, którego to przekopu rzucił pierwszy plan, dziś wykonywany.

Później wyjechał z komisyją naukową do Algeryi, gdzie napisał najlepsze dzieło o kolonizacyi téj prowincyi.

Wróciwszy do Paryża, trafił właśnie na kłótnię dwóch kompanij wydzierających sobie budowę jednej z najdłuższych linii francuskiej drogi żelaznej. Wezwany na arbitra, wynalazł kombinacyą godzącą wszystkie interesa i został dyrektorem przedsięwzięcia.

W 1848 zaczął wydawać dziennik, gdzie naszkicował program praktycznych ulepszeń doli ludu, które urzeczywistniając, cesarstwo swoje początki uzacniło.

Do chwili skonu Enfantin wyłącznie postępową ludzkości zajęty, nie przestał być ogniskiem, u którego najróżnorodniejsze umysły przychodziły czerpać natchnienia lub rady. Ci co z nim ściśle żyli, nie mogą się wypowiedzieć z jaką bystrością Enfantin czytał w sercach; jak zręcznie wnikał w myśli drugich, żeby ich zasoby rozwinać, żeby z nich, jak mówił „żywiół postępu wydobyć.”

Tajemnicą téj powabnej i sympatycznej wyższości, była głęboka i szczerza religijność Enfantina. Pełen wiary i mocnego przekonania najsurowszym był dla siebie samego. Zasady, które wpajał, praktykował sam z największą skrupulatnością. Rozległa wiedza, przytém wyrażne poczucie tego co ma żyć, a co ma przepaść, czyniło go, że tak powiem, społecznym wszystkich wieków. Lgnęli ludzie do niego; on zaś lubił być węzłem wiążącym ludzi; lubił znajdować węzeł rzeczy i szukać w przeszłości zarodków przyszłości. Stawając jako łącznik sprzeczności, dokonał trudnego zadania, o ile jeden człowiek dokonać go może. Pamięć Enfantina nie minie, bo jego niezmordowany umysł przez długie lata tylko dla dobra bliźnich pracował.

— Jeszcze jedna śmierć zasmucająca, chociaż tylko świat naukowy. Sławny wędrowiec odkrywca źródeł Nilu padł ofiarą przypadku na polowaniu. Skon jego dowodzi jeden raz więcej, jak przezorność nieużyteczną jest cnota.

Uparty ten i nieustraszony wędrowiec naraził się na wszelkie znane i nieznanie niebezpieczeństwa, dla urze-



czywistnienia przedsięwzięcia, którego najzuchwalsi jego poprzednicy nie spełnili; przebiegł spiekle pustynie, straszliwe stopy i nieprzystępne zarośla; wytrzymał zimno, upał, głód i pragnienie, tysiące cząstkowych śmierci; widział oczy jadowitych gadów zapalające się gniewem.... czuł na rękach swoich gorący oddech lwa. Nakoniec, po szeregu wysilen nieopisanych i walk, których świadkami były tylko gwiazdy, spełnił cud który starożytność byłaby opiała poematem: znalazł, odkrył ów skarb trudniejszy do znalezienia od filozoficznego kamienia: dotknął własną prawicą i pokazał światu źródła Nilu.

Świat się zadziwił. Nimfa tajemniczego źródła choć obrażona wzrokiem śmiertelnika, nie mogła jednak patrzeć bez uszanowania na człowieka, który potrafił znaleźć drogę do jój kryjówki, przez bogów nawet nie znaną. Speke jako prawdziwy Anglik, nie zdziwił się tém weale: pozdrowiwszy Najadę przywoicie, w imieniu narodowej Anglii, zapiał łomoczek, przywdział waterproof i poszedł spokojnie napowrót w kierunku wysp Brytanicznych. Uszedł szczęśliwie z rąk dzikich krających ludzkie mięso kamiennymi nożami; wymknął się cało węzom, lwom, zarazie, zatrutym strzałom i lodowatym nocom pustyni. Zdawało mu się słusznie, iż jest nieśmiertelny.

Wtém.... o! znikomości chwały ludzkiej!

Dwa tygodnie temu polując w okolicach Chippenham, kapitan chciał przejść przez mur. Mur był niewysoki: Speke ująwszy go rękami, podrzucił się w górę myśląc, że tę zaporę jednym skokiem przesadzi. W tym podskoku, fuzya się zaczęła, strzał padł i zabił na miejscu kapitana.

Anglicy ubóstwiające swoje znakomitości, wspaniały sprawili mu pogrzeb, a na marmurowym pomniku Spek'a, chociaż odkrycie jego zakwestyonowane, wyryty będzie złoty napis: *Tu leży odkrywca źródeł Nilu.*

---

Po długich wakacyach Teatr włoski otworzył podwoje świetnym przedstawieniem *Lukrecji Borgia*. Sala skrzyła się blaskiem dyamentów i ubiorów nadzwyczaj wytwor-



nych. Natłok uprzywilejowanej klasy społecznej, która salę Ventadur, za swój salon uważa, był wielki. Abonenci łóż, liczyli się wzajemnie, a z opróżnionych krzeseł wnioskowali kogo jeszcze pogodna jesień na wsi trzyma.

Publiczność Teatru włoskiego zawsze taż sama: można ją podzielić na cztery klasy. Pierwsza składa się z ludzi tak zwanych wielkiego świata, którzy skończywszy smacznym obiadem swój dzień próżniaczy, każą się ubierać i jadą trawić w włoskim teatrze. Ci przybywają jak na bal: damy pogorsowane, mężczyźni biało ukrawatowani, bez *ale*. Nie przywabia ich muzyka ani talent aktora; sami są aktorami, sami odgrywają komedye, od czasu do czasu rzucając śpiewakom, dla przyzwoitości, kilka niegłośnych oklasków. Skoro jakaś sławna śpiewaczka powraca, przerywają jęj arya okrzykiem: *Brava!* Jestto niezły sposób zwracania na siebie uwagi.

Druga klasa składa się z Włochów fanatycznych miłośników muzyki. Kiedy słuchacze paryzcy zaokrągliwszy łokcie, końcem palcy dają niby zachętę aktorom, Włosi biją nogami i rękami z całej siły, podskakują i krzyczą zapamiętałe, tłumacząc w ten sposób rzeczywistą rozkosz, w którą ich piękna muzyka wtrąca. Melodya jest żywiołem ich duszy, mają z natury jakoby zmysł jeden więcej, do rozumienia tego języka bogów.

Trzecia klasa składa się ze znawców, czyli smakoszów muzycznych. Tych dobrze napisana partycja zachwyca, dobrze wyśpiewana rulada, w niebo unosi. Rozbierają styl utworu, metodę śpiewaków, całość wykonania. Studyują i patrzą, uważając na wszystkie szczegóły sceny z największą bacnością. Dla tych, Teatr włoski jest świątynią, szkołą, ostatnim przybytkiem dobrego smaku.

Czwartą klasę stanowi Ismail, Pers białobrody, który od lat trzydziestu nigdy żadnego przedstawienia u Włochów nie pominął. Zasiadłszy na swoim uprzywilejowanym miejscu, wyznawca ten proroka, cały wieczór spędza w siódmém niebie, które Mahomet reszcie swych wiernych dopiero po śmierci obiecał.

Sala Ventadour posiada tedy publiczność odrębną, którą razem tylko u Włochów spotkać można. Publi-

czność ta bywa i w innych teatrach dla urozmaicenia zabawy, ale schodzi się tylko na tym gruncie. Dla tego mówiliśmy na wstępie, że się na pierwszém przedstawieniu oglądano i liczono.

— Słychać iż jeszcze tój zimy pojawi się w Paryżu drugi teatr włoski. Nie wspominalibyśmy o tém, gdyby to było zwykłe współzawodnictwo z Teatrem włoskim istniejącym, z artystami koniecznie niższymi, ponieważ najslawniejsi są już zaangażowani, lub kupowani na wagę złota, przez Londyn, Petersburg, Madryt i Wiedeń, nie mówiąc już o mniej bogatych teatrach włoskich. Teatr o którym mowa, ma przedstawiać rodzaj muzyki, zupełnie inny jak ten, który w sali Ventadour słyszymy.

Jakkolwiek Włochy spłodziły arcydzieła w rodzaju zwanym u nich *Opera-seria*, można jednak przeciwstawić im rywali niebezpiecznych, a często wyższych, jak Gluck, Mozart, Weber, Meyerbeer i innych mniej sławnych. Ale w *Operze-Buffie* żaden naród nie sprostął Włochom.

Opera komiczna francuzka lekka, dowcipna, nie ma przecież żadnego podobieństwa do Buffy włoskiej: uśmiechasz się słuchając jej, ale się nigdy nie śmiejesz do rozpuku. Na włoskiej buffie ludzie trzymają się za boki. Taką to chcą teraz w Paryżu wprowadzić i umieścić w gmachu przy ulicy Richer.

Jestto w istocie czysto włoska sztuka, sztuka która mogła się zrodzić tylko pod modrém niebem Italii w błogosławionym klimacie, gdzie *czuć że się żyje*, chociażby w łachmanach i bez grosza, jeszcze wydaje się człowiekowi niewysłowioném szczęściem. Muzyka która na Północy jest westchnieniem melancholii, na Południu jest wybuchem wesołego śmiechu. Grucha sobie, spacerując pomiędzy kłopotami życia, jako gołąb różową nóżką stąpający swobodnie po deskach ubogiej chaty. Śpiew zaczęty przez ptaka na ziemi, wnet ulatuje z nim w lazury i tam brzmi dalej, nie przerywając szczebiotania zakochanych i zrządzenia starych.

Buffa nie jest komiką: wynajduje ona śmieszności które komika naśladowuje. Pomiedzy nimi taka różnica jak między karykaturą a portretem. Osoby *Buffy* same



się bawią swoim przebraniem—upojone własną pustotą, zanoszą się od śmiechu. Nie ma żadnej goryczy w tym śmiechu; nie pochodzi on ani z szyderstwa ani z zawiści, ale z dobrego zdrowia, szczęśliwego usposobienia, rozkwitu duszy zadowolonej życiem i tém, że słucha dobrej muzyki w ciepłym i jasnym miejscu.

Śmiejące wiecznie *Buffa* wpuszcza do składu swego miłość; ale nie tę płaczącą i nudną, która z opaski zasłaniającej oczy, robi sobie chustkę do nosa: tylko miłość przedsiębiorczą, śmiałą, dowcipną, śpiewającą serenadę pod oknem otwierającą się łatwo. Wolno *Amorowi* być czułym, byle nie lamentował: upojenie szczęśliwój miłości w *Buffach* dozwolone.

Stendhal, który głębiej niż ktokolwiek przeniknął geniusza włoskiego, szalał za operą *Buffą*, nazywając ją arcydziełem dowcipu ludzkiego. Ale zwał tak jedynie, operę *Buffę* posuniętą do ostateczności: *Cyrulika Sewilskiego* uważał za operę-seryo. Oto ustęp w którym Stendhal entuzjazm swój wyraża:

„Rzeczywistą operę *Buffę*, tę do której *libretti* pisał po neapolitańsku Tita di Lorenzi, do szczytu doskonałości doprowadzili Paisiello, Cimarosa i Fioraventi. Zbyteczna szukać na świecie dzieł sztuki, w którychby było więcej ognia, więcej geniuszu, więcej życia: jestto dzieło, w którym do dziś dnia człowiek najwięcej się zbliżył do doskonałości. Nic więc nie ma do roboty w tym rodzaju, jeno umierać ze śmiechu lub rozkoszy. I tak czyni każdy, kto nie jest flegmatykiem, lub niedołągą.”

Teatr, któryby pośród powszechnych nudów, trysnął tak żywém źródłem uciechy, miałby pewnie w Paryżu szalone powodzenie. Miałby zresztą na swoje rozkazy ogromny repertuar arcydzieł prawie zupełnie nieznanych we Francyi. Zaledwie kilku starych dylletantów nuci je drżącym głosem, ale młode pokolenie nie ma o nich wyobrażenia... takie to poważne, zimne, takie okute w swój krochmalny kołnierzyk! A jednak, jak zauważał jakiś naturalista, *śmiech* tylko wyróżnia człowieka od zwierzęcia (są zwierzęta które płaczą). Homer zaś z wiecznego śmiechu, uczynił atrybut szczęśliwych bóstw Olimpu.



Pergolèse, Cimarosa, Paisiello, Fioraventi, zostaną klasykami paryżkiej opery Buffy. Przedstawiać tam będą *Serva padrona*, *la Molinara*, *Nemici generosi*, *le Cantatrice villane*, *il Matrimonio segreto* i tym podobne śpiewane krotoczwile. Rozpocznie szereg przedstawień *la Pietra di paragone*, owa szalona operka, w której młoda werwa Rossiniego wylatuje jak fajerwerk w powietrze. Następnie nie puszczając się szaty ulubionego mistrza, przedstawia *il Turco in Italia*, *Hatioma in Algeri*, *Don Pasquale* i *Don Bucefalo* równie zabawny jak najweselsza farsa w teatrze Palais-Royal, chociaż z towarzyszeniem melodyjnej muzyki.

Ale kto wykona wszystkie te skrzydlate partycyje? Spytacie. Za Alpami już tylko Verdegó śpiewają, a pewnie nie za pomocą *Miserere* i wielkich aryj dramatycznych, śpiewanych na całe gardło pośród wrzasku trąb i kotłów, artysta się wykształci w muzyce Buffie, którąby można nazwać rozmową dowcipnych ludzi z pełną uszanowania orkiestrą, wtrącającą od czasu do czasu dyskretnie słówko. Łzy śmiać się nie uczą. Owóz, choć nowej szkoły brakło, stara tradycya jeszcze żyje we Włoszech. Już tam paryżcy dyrektorowie zebrali trupę. Doskonali śpiewacy i przedziwne błazny, czekają tylko na otwarcie sali, która będzie podobno gotowa w grudniu, właśnie w chwili kiedy bogaci mieszkańcy Paryża ze wsi i podróży, ostatecznie w swe łube zmroki powrócą.

Mury nowego teatru stoją; chodzi już tylko o urządzenie sali na wzór francuskiej bonbonierki, całej wyłożonej i cieplej jak słońce. Mając drzewo, kamienną tekturę, obrazki i złote listki, zrobią to w kilka godzin Francuzi, istne cyklopy, które sześciopiętrowe domy z kamienia stawiają w dni piętnaście.

Sala nie będzie wielka, gdyż wszyscy muszą być blisko sceny, żeby słyszeli concetti i widzieli grę fizjonomii, która tak ważną rolę w operze Buffie odgrywa. Fotele będą rozstawione szeroko, po włosku, nie po francuzku, tak żeby można z największą wygodą oddawać się muzyce.

Cottongno sławny lekarz neapolitański utrzymywał, iż ażeby jak należy używać muzyki, potrzeba pozostawać w półcieniu i zupełnie od innych ciał ludzkich odosobnionym. „Kto chce się delektować melodyą doskonale, musi

być odosobniony jak do doświadczeń elektrycznych; nadto, musi go przynajmniej jedna stopa wolnego miejsca przedzielać od sąsiada. Ciepło zwierzęce obcego ciała jest dla muzycznej rokoszy zabójcze.”

Uwaga doktora znalazła posłuch u budowniczych sybaryckiego teatru. Opera Buffa paryzka myśl jego urzędywistni. Ażeby nie do upojenia zmysłów nie brakowało, pomiędzy aktami będą tańce. Urządza je Rota, sławny choreograf włoski, obecnie mieszkający w Paryżu. Giorza, także zaalpejska znakomitość, układa dla włoskiego baletu muzykę. Publiczność niecierpliwie oczekuje otworzenia nowego teatru, który jej nowe uciechy zwiastuje. Onego czasu, Heliogabal wyznaczyłbył pono wielką nagrodę za wynalezienie nowego rodzaju rokoszy. Prawdopodobnie w Paryżu nie długo na ten cel Montyona nagrodę przeznaczą.

---

Wzięcie *Paryzkich Molikanów* Dumasa nie ustaje: jestto najwięcej uczęszczana teraz sztuka w Paryżu. Nie podajemy rozbioru tych pięciu aktów, najprzód dlatego, że wyjęte z powszechnie znanego romansu; powtóre, że w krótkim rozbiorku trudno dać pojęcie o utworze, którego główną zaletą dyalogi i wyborna gra aktorów. Wolimy zamiast bladego rozbiorku sztuki dać tutaj list nie blady, którym ją autor ze szponów cenzury wydobył. List ten pisany do cesarza Napoleona rozplómił na nowo dla Dumasa nieco przygasającą sympatyę Paryża. Oto dosłowne tłumaczenie tej śmiałej odezwy:

„Najjaśniejszy Panie! Stało w 1830 roku i stoi do dziś dnia trzech ludzi na czele piśmiennictwa francuzkiego. Ci trzej ludzie są: Wiktor Hugo, Lamartine i ja. Hugo wygnańcem, Lamartine zrujnowany. Mnie nie można wygnąć jak Hugona, bo nie ani w moich pismach, ani w mojem życiu do tego powodu nie daje; ale można mnie zrujnować jak Lamartina. Jakoż rzeczywiście, rujnują mnie.

„Nie wiem co cenzura do mnie cierpi. Napisałem i wydałem *tysiąc dwieście* tomów. Nie do mnie należy oceniać ich literacką wartość. Przełożone na wszystkie je-

zyki, poszły tak daleko jak je mogła roznieść para. Choć najmniej godnego z trzech, książki moje uczyniły mnie w pięciu częściach świata najpopularniejszym: z trzech albowiem, jeden jest myślicielem, drugi marzycielem, a ja jestem rozpowszechniaczem.

„Z tych tysiąca dwustu tomów, nie ma jednego, którego by nie można dać czytać wyrobnikowi z przedmieścia Świętego Antoniego, najzażartszemu republikanowi, lub dziewicy z przedmieścia świętego Germana, najskromniejszego ze wszystkich naszych przedmieść. Otóż, Najjaśniejszy Panie, w oczach cenzury jestem człowiekiem z wszystkich najmniej czystym.

„Cenzura w ciągu lat dwunastu zatrzymała mi następujące utwory: *Isaac-Lequedem* sprzedany za 80,500 franków Constitutionelowi; *Tour de Nesle*, po ośmiuset przedstawieniach (veto trwało lat siedm); *Angèle*, po przedstawieniach trzystu (veto trwało lat sześć); *Antony* po trzystu pięćdziesięciu przedstawieniach (veto trwało lat sześć); *La Jeunesse de Louis XIV*, której wcale nie przedstawiono a przedstawiać miano w Théâtre-Français; *La Jeunesse de Louis XV*, przyjęta do tegoż teatru. Dziś cenzura zatrzymuje mi *Mohikanów*, których przedstawiać miano w przyszłą sobotę. Zapewne zatrzyma mi także pod byle pozorem *Olympe de Clèves* i *Balsamo* które piszę obecnie.

„Nie przychodzę na skargę z powodu *Mohikanów*, jak nie przychodziłem z powodu innych dramatów, tylko zwracam uwagę W. C. Mości na to, że w ciągu lat trzech restauracyi Karola X, oraz w ciągu osmnastu lat panowania Ludwika Filipa, nigdy nie miałem żadnej sztuki zatrzymanej; i dodaje, zawsze dla Twojej wiadomości Najjaśniejszy Panie, iż mi się wydaje niesprawiedliwem kazać tracić przeszło pół miliona jednemu dramaturgowi, kiedy jest zachęta i wsparcie dla tylu ludzi na tę nazwę nie zasługujących.

„Odwołuję się przeto, pierwszy i prawdopodobnie ostatni raz, do Monarchy, którego dłoń miałem zaszczyt ścisnąć w Arenenberg, w Ham i w Elizeum, a który spotkawszy mnie jako wyłanego stronnika na drodze wygna-



nia i więzienia, nigdy mnie nie spotkał z prośbą na drodze cesarstwa."

Powyższy list marszałek Vaillant, jako minister stanu i teatrów oddał cesarzowi. Ten przeczytawszy, natychmiast sztukę grać rozkazał.

---

Wyszło ważne w bardzo liberalnym duchu pojęte dwu tomowe dzieło, napisane przez pana Lepley pod tytułem: „*De la Reforme Sociale*."

— Ekonomista francuzki Franck wydał znakomitą pracę pod napisem „*Philosophie du droit Pénal*." W dziele tém stanowczo występuje przeciwko karze śmierci, jako szkodliwej a nie pomocnej społeczności, dlatego że oswaja ludzi ze zbrodnią i nie jednemu daje ochotę naśladownictwa. Pozytywny autor schodzi się w zdaniach z poetą, a nawet gorące pochwały oddaje Wiktorowi Hugo za jego w tym względzie wystąpienia, a mianowicie za pojęcia o karze śmierci i kodexie karnym wyrażone w *Nędzarzach*.

